DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO“

Jamgorka.

(Smutna historja rasowego kota).

Robota mi dziś stanowczo nie szła. Jakaś nieokreślona tęsknica żarła mię od rana. Pół dnia zmarnowałem na odnajdywanie kołków, które Jarociński — swoim zwyczajem — tak dyskretnie, głęboko ponasadzał przy wytykaniu granicy, że, przysypane grubą warstwą śniegu, w żaden sposób pokazać mi się nie chciały.

Zły wracałem do naszej budy, wspaniałomyślnie przeznaczonej dla nas na biuro przez bogate Towastwo Budowy Miasta-Ogrodu, gdzie czekały na mnie rozpoczęte plany.

Cudny był dzień...

Masa słońca, powietrza, barw, przezroczystości, napraszała się pod pędzel malarza, pod pióro poety.

Młode, gibkie świerczki, udawały z zupełnem powodzeniem tatrzańskie smreki i skrzypiały radośnie.

Przez małą chwilę walczyłem z sumieniem — ergo poczuciem obowiązku — kiedy jednak wpadłem na moment myślą do naszej „budy“ z okopconym sufitem i ścianami, kominem (bynajmniej nie w stylu Ludwika XIV) zamiast pieca, z brudnym stołem i takiemiż stołkami, ze zwojami blachy, drutu i innych rupieci na brudnej podłodze — wciągnąłem w nozdrze jędrne mroźne powietrze i pomknąłem, jak młody źrebak, naprzełaj w las przez kopny śnieg, sięgający wyżej kolan.

Włożywszy ręce w kieszenie, biegłem prawie, jak gdybym się obawiał, że zwoje blachy i drutu dopędzą mię.

— Dzień dobry panu inżynierowi.

Drgnąłem.

Tak mi się chciało „od ludzi“, tak mi dobrze było wśród subtelnie zachowujących się drzew, że aż ogarnęło mną jakieś niesamowite uczucie na ten głos ludzki w głuszy leśnej.

Pod drzewem stał gajowy. Prawie równy wzrostem z młodym chojakiem, pod którym stanął, w szarozielonej kurcie, był tak dostosowany do barwy, że, gdyby się nie odezwał, mógłbym go nie zauważyć. Nieraz, patrząc na niego, myślałem, że to jest typ gajowego z powieści i, że gdybym go spotkał w innem ubraniu i na innym terenie, chybabym odgadł, jaki jest jego zawód. Prócz tego miałem dla niego sympatyczny kącik w mojej duszy. Służył w wojsku rosyjskiem, następnie przeszedł jako ochotnik do Dowbora.

„Pojmali me bolszewiki w powietrzu“ — opowiadał ze śmiechem, pokazując przytem dwa rzędy białych, jak śnieg, a mocnych, jak u młodego wilczka, zębów — „przeskakiwałem z koniem rów i wpadłem im prawie na ręce. To mnie prowadzili bez wieś w plen. To cała wieś wyległa oglądać te polskie wojsko“. — Za tę bezwiedną propagandę, że z takich dorodnych wielkoludów składa się ono polskie wojsko, miałem dla niego sentyment.

— Dzień dobry panu, panie Kolasko.

Przystanąłem.

— Ładny dzionek, co? Tylko, że troche mróz śmierdzi w nosie, ha... ha... ha!... Pan inżynier to pewno leci z pomiarami na tamtą stronę polany?

— Et, nie będę dziś już robił pomiarów. Śnieg spadł w nocy taki duży, że zasypał nam wczorajszą robotę. Trzeba zaczekać parę dni. A na cóż to pan Kolasko poluje?

— Ja jego, psia mać, upoluję. Już miarkuję sobie, gdzie jego szukać. Niech on mi pod rękę jeno podleci, to już ja się z nim tak po „rusku“ rozprawię! Pół nocy wczoraj namarzłem — nie mogłem dłużej — poszedłem do domu się rozgrzać — już mnie baba nie puściła. Przychodzę rano... masz, djable, kaftan! Trzy chojaki, choroba, ściął — gałęzie ino zostawił. Ale śladów ze śniegu, psia para zebrać nie spotrafił, a one ślady już mnie doprowadzą do złodzieja — lepiej niż żandarmy — nie bój się! — zaśmiał się znów głośno.

Podałem mu papierosa; chciałem odejść. Zacząłem się żegnać.

— I ja już pójdę — idziem razem.

— A to co za ślady? — spytałem po chwili, pokazując ślad jakiegoś zwierzęcia na śniegu.

— Ja się już dziś też przypatrowałem tym śladom: ni to borsuk, ni lis — coś takiego, co nie często tu zalata. Jakem szedł dziś rano na obchód lasu, ślad ten jeszcze był widniejszy, to ażem przysiadł na ziemi i nijak rozeznać go nie mogłem. A przecież to dla mnie nie nowina — od dziecka z lasu żem nie wylazł. Może to jaki „zagraniczny“ zwierz, tak jak zeszłego roku — roześmiał się gajowy.

Przystanął, wystukał fajkę o pień drzewa, schylił się i znów ślad oglądać zaczął.

— A jakiż to zwierz zagraniczny? — spytałem więcej przez grzeczność towarzyską dla podtrzymania rozmowy, niż przez ciekawość.

— A, to była heca, proszę pana.

Robiliśmy płozy do sani z Siekierskim, co to stróżuje przy budowli wedle starej gajówki. Poszedłem do niego na jego warsztat, bo on się zajmuje stolarką i ma rozmaity statek, a ja nimom. Aż tu wpada jego baba. — „Chodźta, chodźta prędzej! — woła — jakiś kot wielgachny, czy bies jakiś w okno wlazł! Oloboga, aż się trzęsę cała!“ — „Lecim!“ — wołam na Siekierskiego, łapię swoją fuzyjkę, com ją, w kącie ostawił — wychodzim na dwór. Patrzym: niema nic. „O, o tam, patrzajta — na drzewo wlazł!“ Prawda, siedzi na drzewie: bielusieńkie, jak śnieg, wielkie, jak duży pies, kudłate, kita puszysta z łokieć wisi z drzewa, ślepia żarzą się zdaleka, jak u złego. Jezus Marja! nie widziałem jeszcze takiego, a przecież na dziki i wilki wychodziłem. Podchodzę do drzewa, a to ze ślepiów iskrami sypie — z pazurami do mnie lezie. My w nogi, a to pędzi za nami. Siekierski drągiem zdzielił bestję między ślepia — zamroczyło ją... kozła wywróciła — pazurami się nakryła... podniosła się... grzbiet wygięła... włos zjeżyła, pysk otworzyła i hyc! znów na nas. „— Wal, pan z fuzji!“ — woła na mnie Siekierski — aha, dobryś“ — mówię — „następuje bestja na mnie — zmierzę z fuzji, gardziel mi rozedrze pazurami“.

Ostąpiłem kilka kroków w tył... palnąłem... zwinęła się w kłębek — uskoczyła w bok — pofarbowała śnieg ino i kłusem puściła się naprzód. Gwizdnąłem na Burka. Popędziliśmy za nią. Dopadła otwartego okna piwnicy i buchnęła w dół. My tu dalej okienko zastawiać! Wpadliśmy za nią z psem... Pies do niej, a ona psa za mordę pazurami. Walnąłem kolbą fuzji... Uskoczyła, psiakrew, w bok — psa sobie mało nie zabiłem. Wywrócił się, pianę z pyska puścił. My tu do psa ratować go, a ona tymczasem prześlizgnęła mi się między nogami i bęc! we drzwi. To my za nią. Aż tu wyszedł na drogę elekstrotechnik, co z miasta przyjechał przy kanalizacji krany regulować. Pchnął ją żelazną štabką... padła. Żeby nie farba co z niej poleciała, toby jej nie znać było na śniegu, taka bieluchna była. Przyjrzęliśmy się jej i nie wiemy co to za zwierz; — inakszy niż kot, inakszy niż lew. Na jedno za małe, na drugie za duże. No, że to dzikie takie i złe — może wściekłe?... Zakopaliśmy je i cicho...

Aż tu w parę dni potem przychodził pan, co to jego pałacyk tam, na górce, pytać, czyśmy takiego kota — „jamgorką“ go zwał — nie widzieli.

— „Dużobym zapłacił“ — peda — „bardzo dużo, żebyście mi zatrzymali tego kota — tę niby jamgorkę“ — peda — „bo to bardzo drogi ten kot i wielkie nagrody brał“ — bo to go, podobno, jeździł pokazować na wystawach, gdzieś tam między narody.

A my tylko z Siekierskim spojrzeli i mrugnęliśmy na siebie, bo jamgorka już dawno w ziemi leżała! — roześmiał się gajowy, kończąc swoje opowiadanie.

* * *

Już słońce zachodziło, kiedym wracał do domu z uczuciem dziwnej ciężkości na sercu.

* * *

I czemu żeś ty, biedna „jamgorko“, była taka bielsza i taka inaksza...

Dla „Dziennika Berlińskiego“ napisała:

Wanda Kalinowska.

Śródborów, w styczniu 1924.

Przedślubne pertraktacje.

... a więc powiadam ci, małżeństwo nie jest tak straszne, jak je malują. Biorę poprostu przykład z mego życia. Nie mówłem, jak się to stało, między mną a moją żoną — ale mój drogi bracie, chciałbym i ciebie widzieć jaśniejącego zadowoleniem. Rok mija właśnie, gdy wyjechałeś od nas po świętach. Oczarowałeś kilka mężatek i wszyscy prócz mnie byli pewni, że jesteś najszczęśliwszym z ludzi. Być może, iż i ja miałbym to przekonanie, ale — zdołałem raz pochwycić twój wzrok, wiesz, kiedy Ludwika po jakimś spóźnionym powrocie z sąsiedniej wsi — podczas burzy, wybiegła mnie witać. Mój drogi, ludzie szczęśliwi nigdy takiem wzrokeim na szczęśliwych nie patrzą. Ho! ho! domyślam się, że wolisz samotność choćby męczącą, niż kobietę, którą nauczyliśmy kłamać. Chcę ci właśnie powiedzieć, że i ja miałem podobne wątpliwości i w jaki sposób one zniknęły.

Sześć lat upłynęło od owej pory. Karnawał jeszcze się nie skończył i ja dojeżdżałem stale ze wsi do miasta. W tym czasie jeden z moich przyjaciół zapoznał mnie ze swą rodziną, u której spędzała ów karnawał ich krewna, panna Ludwika. Znałem ją z zabaw, lecz nie zwracałem na nią zbytniej uwagi. — Moi znajomi twierdzili, że nie umie dobrze tańczyć w lewo, co w ich ustach brzmiało jak gdyby to była wada charakteru. Podczas jednego z wieczorów w tym domu weszliśmy po walcu do buduaru i — czy to pod wpływem różowego oświetlenia czy poprostu z przyzwyczajenia objąłem ją i przycisnąłem do siebie. Nie odtrąciła mnie. Popatrzyła tylko na mnie, uważasz? — tak dziwnie, że momentalnie zwolniłem ją z uścisku.

— Przepraszam panią, powiadam do niej, nie wiedziałem, że pani gra rolę purytanki przedemną.

Strzepnęła coś z sukni. Nie wiem — może ślad mojej ręki.

— Nigdy w życiu! zaśmiała się. Wiem, że uścisk to coś bardzo a bardzo miłego, tylko nie wolno robić z niego dowcipu. Pan za dużo, zdaje się, dowcipkował i — dowcipkuje.

Ukłoniła się z przesadną grzecznością i zostawiła mnie samego. Byłem wściekły. Byłem wściekły na nią i na siebie. Wyszedłem natychmiast nie żegnając się z nikim. Dowcipkowałem, czułem, że wypowiedziała prawdę, jak nikt dotąd i byłem jeszcze bardziej wściekły. Cóż ci powiem? Musiałem ją widocznie pokochać tego samego wieczora. Rozpoczęła się między nami głucha walka. Chciałem ją odszukać w niej samej lecz jak to zrobić skoro „dobrem wychowaniem“ jest tak opancerzona, że znając ją doskonale — właśnie nie znam jej wcale. Oświadczyłem się i zostałem przyjęty. Zacząłem się wtedy trapić myślami, iż poprzedni fakt, to był zapewne zręczny manewr, pułapka, jak to bywa, zwyczajnie. Byłem znowu wściekły. Ostatecznie nie jestem potworem i posiadam najlepiej zagospodarowany majątek w całej okolicy. Może będę kochany dla tej polisy, która na wypadek mej śmierci — itd...

Więc postawiłem wszystko na jedną kartę. — Karnawał dobiegł końca i moja narzeczona postanowiła wrócić do rodziców. W przeddzień jej wyjazdu pożegnaliśmy się w gronie znajomych. Ubolewałem, że nie będę jej mógł odprowadzić, gdyż bardzo pilne sprawy wzywają mnie właśnie jutro w inne strony. Wyjechałem w istocie ale końmi do jednego z miasteczek. Była to trzecia stacja, przez którą szedł pociąg z Ludwiką. Nazajutrz czekałem jak w febrze. Pociąg zajechał, stał przepisaną liczbę minut i odjechał wreszcie, wreszcie ujrzałem przed dworcem Ludwikę zakłopotaną a obok niej Piotra. Mój leśniczy tłomaczył jej coś prawdopodobnie wedle instrukcji. Wyszedłem z za muru i zbliżyłem do nich.

— Pan tutaj? zawołała zdziwiona, ale widziałem, że i uradowana.

— Musiałem przyjechać niespodzianie do notarjusza.

Ale co się stało? pytam, witając się.

— Proszę sobie wyobrazić, wyszłam z wagonu z moim towarzyszem podróży do restauracji kolejowej a pociąg umknął tymczasem.

— To ja panią namówiłem, wtrąca niewinnie mój leśniczy, składając mi ukłon jak obcemu.

— Dowiedzieliśmy się, że następny idzie dopiero około wieczora. Co tu robić?

— Nie denerwować się przedewszystkiem. Pokażę pani miasto i okolicę. Przejedziemy się — dobrze? Są tu moje konie.

Pojechaliśmy, żywo rozmawiając. Po jakiejś chwili jednak umilkła. Szybkość jazdy, znajoma okolica, którą wracaliśmy do wsi, wzbudziły w niej widocznie podejrzenia. Pamiętam każde słowo, które wówczas padło.

— Dokąd my tak pędzimy? spytała.

— Do mnie! odparłem, nie chcąc jej dłużej okłamywać.

— Do pana? co to znaczy?

Uniosła się. Spojrzała na mnie badawczo. Potem rzuciła się do drzwiczek. Chwyciliśmy ją za ręce. Konie rwały jak opętane.

— Pan chce mnie — pan śmiał...

— Zwracam uwagę, że krzyczeć nie warto. Jesteśmy w pustem polu. A zresztą w przeciwnym razie ważę się na wszystko i nikt głosu pani nie usłyszy.

— Dawno pana przejrzałam.

— Tem lepiej. Zatem zbyteczne, bym mówił, że zostanie pani u mnie, jak długo zechcę.

— Cóż to? Porwanie? Pan sądzi, że to się ukryje?

— Ukryje!

— Dziś jeszcze wrócę do pociągu.

— Nie wróci pani. Napisze pani list do rodziców, że po drodze zabrali panią do siebie znajomi na nieokreślony czas. Specjalny posłaniec pojedzie z tym listem.

— Nie napiszę! Pan mnie zmuszać nie może! Znowu rzuciła się ku szybie powozu. Całą siłą panowałem nad sobą, by jej nie uspokoić. Nagle ucichła. Popatrzyła na mnie. Czułem, że zmienia taktykę.

— Panie Henryku! szepnęła prosząco.

Zwróciłem się natychmiast ku niej.

— Dlaczego pan to zrobił? niech pan powie. Co to za pomysł!

— Pamięta pani naszą pierwszą rozmowę? — Chcę panią przekonać, że nie dowcipkuję więcej.

— Ale mnie pan odwiezie dziś jeszcze z powrotem?

— Nie, tego nie zrobię.

Rozbudzona czujność była w jej wzroku, w całej postaci. Wtuliła się w kąt powozu i nie odzywała do mnie więcej. W pewnym momencie zawołała:

— Moje rzeczy! Trzeba zatelegrafować na stację.

— Jadą za nami. W tym czasie, gdy pani była w restauracji, mój chłopak wziął rzeczy z wagonu.

Warto było widzieć jej zdziwienie.

A ja wtedy:

— Tak, proszę pani, wszystko obmyśliłem do ostatecznego szczegółu.

Gdyśmy zajechali przed leśniczówkę, widziałem, jak badawczo patrzyła dokoła. Pokój, który przeznaczyłem dla niej, urządzony był prymitywnie. Zostawiłem ją samą. Ledwo wszystko ucichło pod wieczór, próbowała uciec. Za progiem zaraz spotkała Piotra przed domem czuwałem — ja! W ciągu nocy zmieniliśmy posterunki. Słyszałem, siedząc niedaleko drzwi, że płacze. Myślałem, że oszaleję, ale nie ruszyłem się z miejsca. Potem wszystko ucichło. Widocznie zmęczenie przemogło i usnęła.

— Czy zdobędę ją? Czy zdobędę? myślałem ustawicznie.

Gdy na drugi dzień około południa wszedłem do jej pokoju drżała z oburzenia. Musisz wiedzieć, że w nocy kazałem zabrać jej suknię, torbę podróżną a zostawić starą spodnicę, bluzę i buciki Piotrowej. Chciałem ją widzieć bez akcesorjów elegancji. Nie była zupełnie zeszpecona, więc choć syknęła, żem podły, wytłuszczyłem jej moje powody i oświadczyłem, że wieczorem otrzyma z powrotem swą torbę podróżną, by znów mogła się uczesać, upudrować itd., że jednak suknie zatrzymam. Natychmiast bryznęła mi w oczy pytaniem jak długo zamyślam ją więzić, czy to jest postępowanie człowieka, który rzekomo kocha. Wtedy wybuchnąłem:

— Uprowadziłem cię, tak, bo cię kocham, bo myślałem, że odpłacając mi tem samem uczuciem, ucieszysz się, że możemy być wreszcie razem. A ty liczysz, obmyślasz, zastanawiasz się! Nie żądam byś powiększyła moje dochody, abyś umeblowała mój dom, nie pytam czyś kochała kogo przedemną, czys należała już do kogoś. Wiesz, że cię kocham i nic poza tobą mnie nie obchodzi. Pragnę i mam prawo pragnąć, aby było odwrotnie, a ona do mnie zdziwiona:

— Ależ jest tak Henryku!

— Nie! nie jest tak, krzyknąłem prawie, bo już byłem w pasji. Gdybyś mnie kochała nie żądałabyś formy, pewności, tylko mnie, mnie samego. Nie chcę być kochany, gdy mnie i tobie pozwolą na to pewnego dnia, w pewnej godzinie, kiedy nas pewne grono osób zapisze do uroczystej księgi — nie chcę! Mówisz, że kochasz! — Kochaj! Na co czekasz? Daj dowód, że chcesz być moją a nie panią tego domu. Bądź raz chociaż sobą. Bądź szczera!

Ludwika spojrzała na mnie lękliwie, jakby zmieszana.

— Mówisz niezrozumiale Henryku, nie wiem doprawdy co się z tobą dzieje.

Daję ci słowo, że omal nie rozpłakałem się wówczas dlatego, że słowa moje były dla niej niezrozumiałe.

— Dobrze więc, oprę się na twoich zapewnieniach miłości, kochana moja narzeczono. Tu, w tym skromnym pokoju będziesz mieszkała, w tych starych sukniach chodzić będziesz. Nie trzeba ci innych, bo dla mnie i w nich jesteś piękna i najdroższa. Tu zostaniesz, choćby miał być skandal, choćby cię mieli odtrącić rodzice, choćbyś się lękała, że cię potem porzucę. Nie zapewniam ci przyszłości, nie będziesz moją spadkobierczynią. Daję ci tem dowód, że wierzę w twoją miłość.

Wybiegłem z pokoju, gdyż byłem u kresu sił. Otoczyłem ją najczulszą opieką, byliśmy godzinami całemi razem, poznawałem ją teraz dopiero i widziałem, jakie wrażenie czynią moje słowa. Nie zbliżyłem się jednak serdeczniej, nie dotknąłem nawet ręki, choć chwytałem jej zdziwiony wzrok. Od owej rozmowy nie ponawiała prób ucieczki. Po kilku dniach przyniosła mi list do rodziców. Co się wówczas ze mną działo — łatwo się domyślisz. Ale nie zmieniłem postępowania. Myślałem tylko: czyżby moja kobieta najsłodsza naprawdę zbliżyła się do mnie? o krok chociaż? codzień — o krok?

Znowu upłynęło kilka dni. Raz, wieczorem siedziałem jakiś smutny, zgnębiony. Spytała, co mi jest.

— Walczyłem za długo. Jutro zwrócę ci twoje rzeczy i jeśli chcesz odwiezie cię Piotr do domu.

Ludwika zbladła.

— Nie chcesz mnie? powiedziała tak cicho, że domyśliłem się raczej, niż usłyszałem, czułem, że i ja blednieję. — Była szczera cały czas. Dziękuję ci więc, że nie chcesz mnie nadal okłamywać.

Odwróciłem głowę, by nie widziała, jak mi twarz drga. Ludwika przytuliła policzek do mojej ręki.

— Nie będę twoją spadkobierczynią, nie chcę twego nazwiska, zostanę, choćby miał być skandal, choćby mnie odtrącili wszyscy. Porzuć potem, tylko nie odtrącaj teraz, nie odtrącaj.

Porwałem ją na ręce. Mówiłem coś do niej, ale nie pamiętam, co mówiłem. Pierwszy raz w życiu poznałem własne szczęście. Nazajutrz wyjechaliśmy do rodziców.

Dla „Dziennika Berlińskiego“ napisała:

Michalina Szwarcówna.

Adam Mickiewicz.

Alpuhara.

Już w gruzach leżą Maurów posady:
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.
Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy;
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.
O wschodzie słońca ryknęły śpiże,
Rwą się okopy, mur wali;
Już z minaretów błysnęły krzyże:
Hiszpanie zamku dostali.
Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upornej obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.
Hiszpan, na świeżej zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.
Wtem straż odźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcej krainy
O posłuchanie co rychlej prosi,
Ważne przynosząc nowiny.
Był to Almanzor, król Muzułmanów;
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.
„Hiszpanie!“ woła, „na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.
Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wasalem obcej korony“.
Hiszpanie męstwo cenić umieją;
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uściśnął, inni, koleją,
Jak towarzysza witali.
Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczulej uściśnął,
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.
A wtem osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.
Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił:
Zbladłe, zsiniałe miał lice;
Śmiechem okropnym usta wykrzywił;
Krwią mu nabiegły źrenice.
„Patrzcie, o! giaury, jam siny, blady:
Zgadnijcie, czyim ja posłem?
Jam was oszukał, wracam z Grenady;
Ja wam zarazę przyniosłem.
Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać;
Pójdźcie i patrzcie na me katusze...
Wy tak musicie umierać“.
Rzuca się, krzyczy, ściska ramiona;
Chciałby uściśnieniem wiecznym
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
Śmieje się śmiechem serdecznym.
Śmiał się... już skonał... jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły,
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.
Hiszpanie, trwożni, z miasta uciekli;
Dżuma za nimi w ślad biegła —
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

Położenie geograficzne i polityczne Polski.

Polska leży na wielkiej przerwie pomiędzy Karpatami a Bałtykiem. Leży na wschodnim krańcu Europy zachodniej. Jest jednym z ostatnich krajów zachodnio-europejskich, na przejściu do Europy wschodniej.

Pod względem przyrody swej i kultury posiada więcej cech wspólnych z Europą zachodnią, aniżeli z Europą wschodnią. Wysokie góry na południu i zamienione już na wyżyny starożytne góry Polski, a nawet jej niziny, przypominają krajobrazy Europy Europy zachodniej. Także pewne cechy klimatu Polski wyróżniają krainy nasze od Europy wschodniej, elementy zaś świata roślinnego i zwierzęcego pochodzą raczej ze zachodu niż ze wschodu. To samo da się zauważyć na polu kultury materjalnej czy duchowej. Przez ziemie polskie biegnie granica alfabetu i kalendarza łacińskiego.

Ziemie polskie, leżąc na przejściu z Europy zachodniej do wschodniej, stawiały niewiele przeszkód wszelkim ruchom w tych kierunkach. Dzięki licznym ułatwieniom komunikacyjnym stosunki z krajami sąsiedniemi były zawsze ożywione i liczne. Polska znajduje się w tych warunkach geograficznych, które umożliwiają jej pośrednictwo między zachodem i wschodem. Szlakami, które łączą Polskę z Europą, szedł odwieczny ruch handlowy, tędy przesuwały się wpływy polityczne, kulturalne i religijne z Polski na wschód. Tędy też przez etnograficzny obszar Polski, rozpostarty między Bałtykiem a Karpatami, musi również dążyć wszelki ruch handlowy i kulturalny do Europy wschodniej, o ile sobie obiera drogę lądową, gdyż droga przez Polskę jest najkrótsza i najdogodniejsza.

Lecz także w kierunku południkowym jest Polska dosyć łatwa do przebycia i umożliwia związki północy z południem. Leży przecież niedaleko Bramy Morawskiej i na przejściu do niziny Mołdawsko-wołoskiej. Idący od Bałtyku ruch komunikacyjny rozchodzić się może to ku Adrjatykowi, to ku morzu Czarnemu. Krainy geograficzne Polski nie tamują owych ruchów. Te łatwość „przejść“ w Polsce, co pociąga za sobą przechodzenie pewnych zjawisk w siebie, a więc „przejściowość“, uważają niektórzy geografowie (Nałkowski) za cechę zasadniczą Polski, która się wybija w jej historji i w jej losach.

Nie ulega wątpliwości, że pod względem komunikacyjnym położenie Polski jest korzystne. Płynie to przeważnie z nizinnej natury kraju. Korzystnem jest także położenie geograficzne Polski ze względu na pewne zjawiska przyrodzone, które ułatwiają pracę ludzką. Ale ma ono także strony ujemne. Do tych należy, prócz niezbyt urodzajnej gleby i zaostrzającego się ku wschodowi klimatu, przedewszystkiem mało korzystne położenie względem morza. Położenie nad Bałtykiem, morzem zamkniętem i oddalonem od oceanu Atlantyckiego, nie może równać się z położeniem krajów zachodnich nad otwartym oceanem. Nadto dostęp do morza jest ograniczony do minimum i skomplikowany przez „wolne miasto Gdańsk“.

Położenie polityczne Polski izolowanem nie jest. Polska — to nie Nowa Zelandja! Polskę otaczają liczne państwa. Położenie Polski nie jest jednak, mimo dostępu do morza, skrajnem, jak Portugalji lub Hiszpanji albo Norwegji, lecz jest środkowem. Polska graniczy z 6 państwami, ma zadużo sąsiadów. Podobne położenie mają wprawdzie Niemcy, ale mają zato szerszy dostęp do morza. Położenie środkowe jest korzystne ze względów gospodarczych, przedewszystkiem handlowych, ale mniej korzystne ze względów politycznych i strategicznych. Położenie takie pozbawia państwo oparcia o granice zupełnie bezpieczne i zmusza je do walk na wielu różnych frontach.

Polska dążyć przeto powinna do zgody ze swymi sąsiadami i do korzystnych dla swego rozwoju politycznych przymierzy i gospodarczych układów.

Z pośród państw, otaczających Polskę, największe znaczenie mają Niemcy i Rosja. Wprawdzie są to państwa, które wyszły z wojny światowej pokonane lub zniszczone, ale były to do niedawna potęgi światowe, państwa ludne i bogate w surowce. Oba graniczą z Polską na długiej linji, oba pozostają z Polską w jaknajbardziej ożywionych stosunkach gospodarczych.

Jak dotychczas, Polska szukać może przyjaciół raczej u swoich wschodnich (Rumunja, Łotwa), aniżeli u zachodnich granic.

Wieloryb.

Wieloryb to zwierzę ssące ogromnych rozmiarów: długość jego wynosi od początku głowy do końca ogona około 35 łokci (choć często trafiają się znacznie większe, przechodzące długością 55 łokci), z których głowa zajmuje mniej więcej trzecią część.

Jest ona w środkowej części nieco wypukła; tu znajdują się dwa wielkie otwory, przez które wieloryb wyrzuca przy każdym oddechu dwa strumienie wody, zmieszanej z parą, pochodzącą z płuc. Para ta jest widoczna w powietrzu mroźnem, gdyż te olbrzymy żyją tylko w morzach północnych, w towarzystwie fok i białych niedźwiedzi. Paszcza wieloryba jest ogromnych rozmiarów: wysokość jej u średniego wieloryba jest taka, że dorosły mężczyzna, stojąc na ramionach drugiego, zmieścić się w niej może. Gdyby ta paszcza posiadała zęby, oraz odpowiednich rozmiarów gardło, to morza północne zostałyby już dawno opustoszone z ryb różnej wielkości; lecz przy swoim ogromie wieloryby mają otwór gardła taki mały, że mogą przełykać tylko ryby cokolwiek większe od śledzia oraz drobne stworzenia morskie.

Podniebienie ich jest całe zapełnione szczapami fiszbinu, zwisającemi na dół: wieloryb, otworzywszy paszczę, chwyta rybki wraz z wielką ilością wody; zamknąwszy szczęki, wypycha wodę przez otwory wgórze głowy, a rybki, zmiażdżone owemi laskami fiszbinu, wpadają wprost do gardła wieloryba.

Tę czynność powtarza on prawie ciągle, bo też na wyżywienie takiego ogromu potrzeba tysięcy rybek dziennie.

Język jest niemniej ciekawy: jest to kawał mięsa długości około 13 łokci, a szerokości około 6 łokci; z niego samego wytapia się 5 do 6 beczek tłuszczu, dla którego głównie poluje się na te olbrzymy. Oczy są małe, umieszczone po bokach głowy, zaopatrzone, jak u wszystkich innych zwierząt, powiekami, które są tak nabrane tłuszczem, że z trudnością się podnoszą; wzrok jednak, jak również słuch i powonienie, mają wieloryby wyborne.

Samice bardzo kochają swoje małe, karmią je własnem mlekiem i opiekują się niemi troskliwie. W razie niebezpieczeństwa samica przygarnia do siebie swoje małe (ma zwykle tylko jedno) jedną z dwóch płetw i stara się je osłonić od harpuna, rzuconego przez ludzi lub od innego niebezpieczeństwa, a sama najczęściej pada ofiarą.

Foki bardzo lubią towarzyszyć wielorybom, nieraz na znacznej przestrzeni, igrając w wodzie wesoło.

Poluje się na wieloryby głównie dla tłuszczu, gdyż mięso ma twarde i niesmaczne. Łowy na te zwierzęta bywają często bardzo niebezpieczne.